Przygody Franka Chacutycza
cz. 2. W drogę ku Północy

Adam Iwanicki

Następnego dnia, skoro tylko zorza poranna rozlała się po niebie różaną poświatą, ubrany w najbardziej elegancki strój, jaki posiadał, spakowany już Franek żegnał się ze swym ojcem. Chacutycz, poważny i nieco zamyślony, podszedł ku dorożce, niosąc niewielką skrzynkę, w której pobrzękiwało kilka flaszek miejscowego trunku – owego słynnego rudzkiego bimbru. Z uśmiechem, w którym mieszała się duma z ojcowską troską, rzekł do Włocha:

— To, Jaśnie Panie, na trudne czasy. Kiedy człeka zmęczenie dopadnie albo serce się zasmuci, kropla tego specjału nie zaszkodzi.

Giuliani skinął głową z wdzięcznością i odparł:

— Bóg zapłać, dobry panie. W waszej gościnności czuć południowe słońce, choć ziemia tutejsza zimna.

Franek objął ojca, a w jego piersi zakotłowały się uczucia – radość i trwoga, młodzieńcza ciekawość i smutek rozstania. Chacutycz, ścisnąwszy dłoń syna, rzekł jeszcze:

— Pamiętaj, Franku, bądź pracowity, posłuszny, a nade wszystko – ucz się świata. Niech cię Pan Bóg prowadzi.

Dorożka ruszyła. Koła skrzypnęły po zmarzniętym błocie, a stara wierzba przy drodze zaszumiała liśćmi jakby w pożegnaniu.

W podróży Franek próbował zagadnąć swego pana o cel wyprawy, lecz Włoch był małomówny. Rzekł tylko, że zmierzają do Petersburga, gdzie ma dać dwa koncerty przed osobistościami wielkiego świata. Chłopak chciał jeszcze dopytać o ów tajemniczy instrument, którego Włoch tak pieczołowicie strzegł, lecz zrozumiał, że jego rola to służba, nie rozmowa. Na nim spoczywał obowiązek przygotowania stroju pana, pomocy w codziennej toalecie, czuwania nad świeżością jadła oraz czystością zajazdowych pokoi. Słowem – by życie artysty w drodze było tak wygodne, jak pozwalały na to bezkresne drogi i liche oberże Imperium.

Trakt wiódł przez Galicję, a potem, coraz bardziej na wschód, przez gubernie: mińską, grodzieńską, witebską i mohylewską. Granicę przekroczyli w Brodach, gdzie wśród gwaru celników i żandarmów zaczynał się świat surowszy, mniej gościnny.

Franek, choć był jeszcze młody, znał się na oberżach jak mało kto. Wszak sam wychował się w karczmie, gdzie podróżni z całej Europy szukali strawy i odpoczynku. Lecz to, co zobaczył po stronie rosyjskiej, przerosło jego wyobrażenia.

Im dalej na wschód, tym zajazdy stawały się brudniejsze, ich właściciele – mrukliwi, nieuprzejmi, jakby gości przyjmowali z przymusu, nie z życzliwości. Izby cuchnęły stęchlizną, jadło było byle jakie, a o czystości i porządku lepiej było nie wspominać.

Franek jednak, z natury pracowity i obrotny, czynił, co mógł, by swojemu panu umilić trudy podróży. Dbał, by bielizna była wysuszona, posiłek gorący, a pościel – choćby nie nowa – przetrzepana i czysta.

Giuliani rychło spostrzegł, że chłopiec jest niepospolity. Mimo młodego wieku władał płynnie niemieckim, rozumiał rosyjski, a nawet znał nieco żydowskiej mowy. Pracował cicho, a myślał szybko, odgadując życzenia swego pana, zanim ten je wypowiedział.

Pewnego ranka, gdy szykowali się do dalszej drogi, Giuliani usłyszał, jak chłopiec nuci pod nosem jakąś melodię. Uśmiechnął się, poznawszy ją natychmiast – była to aria z opery *La Cenerentola* Rossiniego, którą poprzedniej nocy długo ćwiczył na gitarze[1]. Nie wiedział, że Franek, zafascynowany muzyką, często przykładał ucho do drzwi, by słuchać gry Włocha.

— Czy wiesz, jaką melodię nucisz od rana? — zapytał go Giuliani.

Franek zarumienił się, niepewny odpowiedzi, i potrząsnął głową.

— To aria *Non più mesta accanto al fuoco* — odrzekł Włoch z dumą. — Śpiewa ją Angelina, gdy dowiaduje się, że nie będzie już służącą, lecz żoną księcia Don Ramira.

Franek słuchał z zachwytem, jak dziecko słucha bajki. Od tej chwili między mistrzem a uczniem zawiązała się nić szczególnej przyjaźni, której spoiwem była muzyka.

Za oknem przemykały dzikie krajobrazy: rozległe łąki, ciemne lasy, smutne wsie z drewnianymi cerkiewkami i ubogimi chutorami. Podróż, choć długa i uciążliwa, mijała im przyjemnie – na rozmowach, wspomnieniach i muzyce. Nie wiedzieli jednak, że od dłuższego czasu ktoś ich śledził. Kilku jeźdźców, trzymając się w cieniu drzew, podążało za dyliżansem, nie chcąc zostać zauważonymi. Byli to rozbójnicy, znani w całej okolicy z napadów na zagranicznych podróżnych.

Ostatnim przystankiem przed Petersburgiem była Gatczyna – miasteczko ciche, otoczone mokradłami i lasami. Gdy zapadł zmrok, zbóje wyprzedzili dyliżans bocznym traktem i zaczaili się w gęstwinie. Napadli znienacka, jak wilki. Z ciemności wybiegło czterech mężczyzn o zarośniętych twarzach, w kożuchach z wilczej skóry, z nahajkami i szablami w dłoniach. Jeden miał na głowie czapkę z lisim ogonem, drugi pęk kluczy u pasa, trzeci długą strzelbę na ramieniu, a czwarty – szeroki uśmiech człowieka, który czuje nad kimś władzę.

Koń zarył kopytami, dyliżans zatrzeszczał, a woźnica niemal spadł z kozła. Rozbójnicy postawili przed sobą podróżnych i wrzasnęli po rosyjsku:

— Gdzie diengi? Davayte den'gi nemedlenno! Proklyatye merzavtsy![2]

[1] Mauro Giuliani wykorzystał ten temat w swojej *Rossinianie nr 2* (przyp. red.).

Przerażony Włoch tulił do siebie futerał z gitarą, jakby w nim zamknięte było całe jego życie. Franek, przytomny i odważny, schylił się do dorożki i wyciągnął skrzynkę, którą dał im ojciec.

— U nas niet deneg, — powiedział spokojnie, — my prostye putieszestwienniki. No u nas yest' koe-chto ot zhazdy...[3]

Rozbójnik chwycił skrzynkę z jego rąk i otworzył ją z chciwością. Wewnątrz błyszczały butelki wypełnione złocistym trunkiem. Powąchał zawartość jednej, a potem, podejrzliwie, podał ją woźnicy:

— Berite i peyte![4]

Woźnica, drżący jak liść, wypił kilka łyków. Twarz jego z miejsca się rozjaśniła, a strach zniknął. Widząc to, zbóje zaryczeli z zadowolenia i rzucili się do pozostałych flaszek.

Giuliani i Franek siedli z boku, szeptem naradzając się, co czynić dalej.

— Poczekajmy, aż zasną, — rzekł chłopak. — Wymkniemy się cicho. Pewnie niedaleko jest jakaś wieś.

Lecz nim zdążyli wykonać plan, z ciemności dobiegł rumor końskich kopyt i brzęk oręża. Nagle zza zakrętu wypadło kilku jeźdźców w szynelach z połyskującymi guzikami.

— Stać! Kto wy jesteście?! Wszyscy na ziemię! — grzmiał ich dowódca.

Był to patrol żołnierzy rosyjskich. Do Włocha podjechał porucznik – mężczyzna wysoki, barczysty, o twarzy twardej jak granit. Rzucił po francusku:

— *Étranger ? D'où venez-vous et que faites-vous ici ?*[5]

Franek, nie czekając, wyszedł naprzeciw i rzekł po rosyjsku:

— To wielmożny pan Giuliani, artysta z Włoch. Jedziemy do Petersburga. Dziękujemy za wybawienie z rąk tych oprawców — nie wiadomo, co by się z nami stało, gdyby nie panowie...

Porucznik popatrzył chłodno, po czym odjechał na bok, by coś omówić ze swymi ludźmi. Po chwili wrócił i rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu:

— Będziemy was eskortować do Petersburga. Ale będzie to kosztować... trzysta rubli!

Porucznik, rosły i ogorzały, miał twarz surową, wąsy jak szczotki i oczy zimne jak syberyjski lód. Głos jego, gdy powtórzył żądanie, zabrzmiał jak uderzenie szabli o kamień:

— Trzysta rubli srebrnych! I to natychmiast!

Włoch, blady z oburzenia, poruszył ustami, jakby chciał coś rzec, lecz nie wydobył z siebie ani słowa. Wiedział bowiem, że w tych stronach prawo ma zawsze ten, kto trzyma szablę.

[2] Z ros.: Gdzie pieniądze? Dawać pieniądze natychmiast! Przeklęci!

[3] Z ros.: Nie mamy pieniędzy. Jesteśmy tylko podróżnikami. Ale mamy coś na pragnienie...

[4] Z ros.: Bierzcie i pijcie!

[5] Z fr.: Obcokrajowiec? Skąd pochodzisz i co tu robisz?

Franek, widząc strapienie swego pana, zaryzykował i odparł śmiało:

— Panie poruczniku, to artysta. Ledwie co z rąk zbójów wyszliśmy!

Porucznik spojrzał nań uważnie, po czym parsknął śmiechem.

— A, artyści! — rzekł szyderczo. — To może nam zaśpiewacie, hę? Albo zatańczycie?

Na te słowa kilku żołnierzy roześmiało się grubym, żołnierskim śmiechem, lecz Włoch, wciąż trzymający przy sobie futerał, uniósł głowę dumnie.

— Muzyka moja nie dla śmiechu, lecz dla duszy, — odparł po francusku. — Lecz jeśli trzeba, zagram. Nie dla zapłaty, lecz by pokazać, iż nie jesteśmy błaznami.

Porucznik skinął dłonią, dając znak, by otoczyli ich w krąg. Ognisko już płonęło – rozbójnicy, pojmani i związani, leżeli obok, półprzytomni od bimbru. A w tym świetle drgającym, pośród cieni lasu i połyskujących bagnetów, Giuliani otworzył futerał. Wyjął gitarę, której politura błysnęła jak bursztyn w ogniu. Nastroił struny szybkim ruchem dłoni – jak ktoś, kto od lat wie, że każda nuta ma swój czas i swoje przeznaczenie. I wtedy zabrzmiała muzyka – delikatna, a przecie mocna, jakby z samych niebios płynęła. Żołnierze milczeli. Nawet konie przestały parskać. Melodia unosiła się w chłodne powietrze, wijąc się jak modlitwa: czasem cicha jak westchnienie, czasem potężna jak wezwanie do boju.

Franek, który siedział tuż obok, słuchał jak zahipnotyzowany. Widział, że porucznik, jeszcze przed chwilą twardy jak skała, teraz wpatruje się w płomień ogniska z oczami zamglonymi – jakby muzyka przypomniała mu coś z dawnego życia, coś utraconego.

Kiedy ostatnia nuta wybrzmiała i zgasła w ciszy, porucznik podniósł się powoli.

— Niech was diabli, Włochu... — mruknął. — Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

Po chwili dodał już głośno:

— Eskorta wasza będzie darmowa. Ale pamiętajcie, w Petersburgu różni ludzie mają długie uszy. Lepiej grajcie tylko tam, gdzie was proszą.

Skinął na żołnierzy. Wkrótce kolumna ruszyła w drogę – dyliżans, trzy konie i czterech rozbójników.

Franek siedział w środku obok swego pana, wciąż słysząc w uszach echo tej melodii. Wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że muzyka potrafi uczynić więcej niż złoto, a może nawet więcej niż bimber z Rudek.

Giuliani spojrzał na chłopca i rzekł cicho, niemal jak do siebie:

— Widzisz, mój chłopcze... muzyka to język, którego boją się nawet żołnierze.

Za oknem świt rozlewał się bladym światłem nad bezkresnym krajobrazem północnym. Droga do Petersburga stała otworem – a wraz z nią nowe przygody, o jakich Franek z Rudek jeszcze nie śnił.